Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr. Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

9. Lutego 1856. № 18. Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

V.

(Ciąg dalszy).

Nim słońce zeszło, był już Gustaw w drodze do Sobkówki. Za laskiem zdybał kapitana, stojącego przy pługach. Staruszek trzymał czapkę w ręku, i szeptał pacierz. Para koni orała na polu, a stary Jakób szedł za pługiem.

Malowniczy był to widok dla artysty. Poranne słońce ozłociło pochyłość góry, a duże krople rosy, pozawieszane rzędem na pajęczynie ścierniska, błyszczały jak perły na wystawie jubilera. Po tej bogato w klejnoty ustrojonej niwie, krajał pług czarne bruzdy, a mnóstwo wron krążyło za pługiem i rzucało się na wyorane z ziemi owady.

Ale Gustaw dzisiaj nic nie widział, i byłby nawet kapitana ominął, gdyby ten niebył na niego zawołał.

— Cieszy mnie, rzekł do niego kapitan, że poczynasz tęsknić za Sobkówką.

— A któż by nie tęsknił za tym, który po ojcu jest mu najbliższym!

— Coś od sentymentów zaczynasz. Guciu! to nie bez kozyry! Pewnie się hrabianka na ciebie krzywo popatrzyła, albo co gorsza, dała ci odkosza!

— Odkosza?... do tego wcale nie przyszło, a nawet.. nawet może na to się nie zanosi.

— Już też ze mną, mój Guciu, nie będziesz grał w straszaka. Wy myślicie, że dopiero teraz ma człowiek w dwudziestym roku rozum, że pierwej był głuptasiem i nieukiem, chociaż już wąs za ucho zakręcał. Myślicie, że dzisiaj młokos może staremu pleść duby smolone, a on się na nich nie pozna. Oj Guciu, na złej jesteś drodze! ufasz młodemu rozumowi a starym pogardzasz.

Gustaw nic nie odpowiedział, bo był przekonany, że odpowiedź jego mogłaby tylko rozmowę przeciągnąć, a w jego piersi było mu jakoś tak duszno, tak niespokojno, że chciałby gdzieś iść, wiecznie iść, jak ów wieczny tułacz, byle tylko nigdy nie stanąć! Ale kapitan był dzisiaj tak rozmowny, taki głęboki spokój malował się na jego twarzy, że Gustaw mimo woli musiał przy nim pozostać. Kapitan ani ruszył się z miejsca, a jeźli kilka kroków na przód postąpił, to na to tylko, aby wraz z Gustawem siąść na worku z nasieniem.

— Przypatrz się bliżej memu gospodarstwu, mówił kapitan, porzucając wątek dawnej rozmowy, a obaczysz, jaką różnicę w glebie sprawia dobra uprawa. Na tych sześciu zagonach od miedzy miałem proso, a koło niego był jęczmień. Po zbiórce co za różnica? Tam czarno tu płowo. Ułożyłem sobie na drugi rok posiać tu lucernę. Jestto roślina bardzo pożyteczna i zastąpi mi brak paszy. Przed dwoma laty miałem na tem polu groch zielony, który mi pole tak zapyrzył, że do dziś dnia nie mogę go wyczyścić, chociaż już na to różnych próbowałem sposobów. Wczoraj nagrabałem sam własną ręką ogromną stertę, a zapaliwszy ją, cieszyłem się serdecznie jak płomień niepoczciwe zielsko pożerał!... To mnie tylko martwi, że tam pod laskiem co raz więcej napotykam na kamień. Jest to grunt kamienisty i ma tylko cienką łupinę ziemi dobrej. Prócz owsa, nic się na nim rodzić nie chce...

Nie mógł dłużej tej gawędy słuchać Gustaw, i swemi uwagami przerwał kapitanowi. Dziwił się jakim sposobem człowiekowi, co znał świat w całej jego rozległości, co żył w tym świecie, niepośledne zajmując stanowisko, może dzisiaj wystarczyć kawał krzemienistej ziemi, jakim sposobem ten szary lasek na tej górze, może mu cały świat zasłonić, na którym może niegdyś za ciasno mu było!

— Wierzaj mi Guciu, odpowiedział mu na to kapitan, tem szczęśliwszym jest człowiek, im mniej miejsca na świecie zajmuje; tem skuteczniejsze jest jego działanie. Wódz, który nieliczne swe wojska szeroko rozstawi, aby większe zajął stanowisko, przegra w końcu niezawodnie. Tak też dzieje się z nami, im więcej siły nasze na mniejszy zakres skupimy, tem silniej, tem pożyteczniej pracujemy w społeczeństwie. Ludzie-marzyciele, co to świat cały chcą sercem i myślą ogarnąć, chcą go podbić lub zreformować jednem dotknięciem laski czarodziejskiej.... ci ludzie są podobni do chmury, co się nad samą ziemią cienko rozwiesi, a lada wietrzyk zawionie, już jej nie masz! Z małych tylko chmurek deszcz urodzajny, mój Guciu, z małych!

— W taki sposób, rzekł Gustaw, nie mielibyśmy ludzi, którzy odwagą i śmałością wydobywają się z tłumu i wyższego dobijają się stanowiska. A iść co raz wyżej, jest już w naturze człowieka.

— Może to jest prawda, ale wtedy trzeba wejrzyć w siebie, czy nas do tego zagrzewają szlachetne pragnienia duszy, czyli podszepty egoizmu i próżności. A w twoim wieku tak trudno rozróżnić jedne od drugich!.. Spojrzyj na tę niwę, błyszczy ubrana w perły i drogie kamienie. Jestto obraz dzisiejszych twoich marzeń. Oto pług, pług rzeczywistości, strąca ten blichtr fałszywy, i czarne kraje bruzdy, aby w nie ziarno rzucić przyszłego plonu! Pamiętaj, aby wtedy zamiast ziarn, nie zostawiła rzeczywistość po sobie takich owadów, za któremi jak widzisz, tylko stado wron się ugania!..

To rzekłszy, wstał z worka, a podawszy rękę Gustawowi, odszedł do pługów. Słowa kapitana wpadły w zburzone serce Gustawa, jak garść piasku w rozhukane morze. Gustaw puścił się dalej do Sobkówki, za kilka chwil był już w dworku.

Odchyliwszy drzwi izby, ujrzał Adolfa leżącego na łóżku. Z cicha zbliżył się do niego. Adolf spał jeszcze, po rzeczach rzuconych w bezładzie widać było, że późno do domu powrócił. Na twarzy jego malował się spokój.

— Tak śni szczczęśliwy, rzekł Gustaw do siebie, a jam całą noc przebył na torturach.

Niechcąc brata budzić, siadł na krześle i wziął ze stolika książkę do ręki.

Pod książką coś mu zabłysło! Był to złoty krzyżyk, bogato w dyamenty oprawny. Gustaw obejrzał go i poznał krzyżyk Ofelii.

— Więc aż do tego przyszło? zawołał nagle, a książka wypadła mu z ręki.

Łoskot upadającej książki przebudził Adolfa.

— Prawdziwie, winienem cię przeprosić kochany Guciu, przemówił Adolf, podnosząc się na łóżku, przeprosić za krzywdę com twemu sercu wyrządził. Sądziłem, że mnie za mało kochasz, że za nadto zajmuje cię nowe towarzystwo, a zaledwie usłyszałeś, że odjeżdżam, przychodzisz wraz ze świtem do mnie! Pójdź, niech ci za to podziękuję!

Gustaw zbliżył się do brata, i podał mu twarz do pocałowania.

— Cóż ci to jest, rzekł Adolf, widząc oziębłość brata, czy się tak smucisz, że odjeżdżam, czy...

— Nic mi nie jest, zmęczyłem się, biegnąc tutaj. Do tego wynudził mnie kapitan długą perorą, w której jak zazwyczaj, musiał być jakiś obrok moralny.

— Jest to nawyczka wszystkich starych, że lubią moralizować, lecz bądź pewny, że cię niemniej kocha, jak ja.

— Ty mnie kochasz?. przerwał mu Gustaw, wymawiając te słowa z dziwnym naciskiem. Ty mnie kochasz, o tem nie wątpię, i właśnie mam sposobność o tem się przekonać.

— Cóżby to była za sposobność?

— Zapewne przypominasz sobie ostatnie słowa z testamentu naszego ojca. Mówi on, abyśmy z serc naszych wyplenili te zachcenia, któreby szczęściu drugiego na przeszkodzie stanąć mogły. Nie mówi jednak tego, kto z nas ma być szczęśliwym, a kto ma się mu z drogi ustąpić.

— Nierozumiem cię wcale, zawody nasze a nawet i drogi wcale się nie krzyżują.

— Adolfie uderz się w piersi, i powiedz, czyś mnie drogi nie zaszedł.

Adolf zarumienił się, i spuścił oczy. Po chwili milczenia chwycił Gustawa za rękę i rzekł z zapałem:

— Nie Guciu, nie stanąłem ci w drodze, ale stanąłem blisko ciebie, aby na twoje szczęście spojrzeć. Wszak szczęśliwi lubią, aby się na nich patrzeć!

— Wierzaj mi, żebym i tobie odstąpił, gdyby się szala szczęścia na twoją stronę przeważyła. Tego jednak nie widziałem, lecz wiedziałem, żeś potajemnie pragnął tego, com ja, zdawało się już posiadał. Do moich celów szedłem otwarcie, tyś dążył potajemnie.

— Zapewnie, chcesz powiedzieć, rzekł Adolf z uśmiechem, żem chodził do kościółka, żem się z nią często u Przyrębów widywał.... podczas gdy ty na salonie się bawiłeś!

— Teraz to zrozumiałem damę wielkiego świata, zawołał Gustaw chodząc po pokoju, i łamiąc ręce, dla niej jest tylko romans po za domem, bo to bawi i nęci, a w salonie może się odbyć wcale innego rodzaju oświadczenie, przy którem musi być komornik i pisarz, aby zaraz spisać warunki kupna i sprzedaży!...

— Tak łatwo na duchu upadasz, Gustawie!

— Nie upaść na duchu, jeśli ta, której obraz na sercu się wycisnął, odbywa z innym nocne schadzki?

— Więc widziałeś?.. Jeśli nic więcej, to proszę cię, uspokój się.

— Adolfie, zawołał Gustaw, ze łzami w oczach, biorąc brata za rękę, ty mnie chcesz zaspokoić słowem, a kroki twoje rozdzierają me serce! Wyznaj mi a ja... a ja ci ustąpię! Jaki cel miała schadzka nocna?

— Lepiej, żebyś się o to nie pytał. Twoja pozycja wymaga, abyś nie pragnął wiedzieć tego, w czem pomocnym być nie możesz. Zaufaj memu słowu, że ci na drodze nie staję, owszem czuwać będę, aby ta droga była prostą, i abyś na niej nie zbłądził. Z Ofelią mówiłem dzisiejszej nocy, i dowiedziałem się, że cię kocha.

— A ten jej krzyżyk?

— Jest mi dany w celu dobroczynnym, jest to podarek dla malarza, którego ocalić przyrzekłem.

Gustaw odetchnął wolniej i zamyślił się. Po chwili milczenia rzekł do brata:

— Wierzę ci, i o więcej ciebie nie pytam. Ale jak wiesz że mnie kocha?

— Mówiła o tobie! A cóż łatwiejszego jak poznać z mowy kobiety, że mówi o tym, którego kocha! Każde słowo, każdy akcent zdradza ją.

— Ale przyznaj się Adolfie, że i dla ciebie nie była ona obojętną.

— Dla kogoż taka kobieta, jak Ofelia, może być obojętną? odparł Adolf z bolesnym uśmiechem. Wszak sam mówiłeś mi, że ona jest ideałem dla tych, co marzą. Dla mnie jednak jest ona więcej, niżeli ideałem, bo sny moje nigdy mnie tak wysoko nie uniosły. Zbyt często zraniłem się o kolce rzeczywistości, abym mógł dzisiaj o niej zapomnąć. Ujrzawszy ją po raz pierwszy, nie miałem innego pragnienia, jak tylko, częściej ją widzieć. A widzieć ją szczęśliwą, widzieć ją przy twoim boku, byłoby dla mnie może najwyższem szczęściem.

— Twoje słowa goją i ranią, rzekł Gustaw podparłszy ręką głowę, stawiając Ofelią tak wysoko, budzisz we mnie trwogę, czy nie pragnę za wiele!

— Nie Gustawie, już serce jej posiadasz. Twoje wychowanie, twoja pozycja zbliża cię do niej. Nie obejdzie się jednak bez walki z przesądami świata i ze złością ludzką. Przygotuj się na tę walkę, zapowiadam ci ją. A potem poznasz czyś się na sobie nie zawiódł.

— Jeśli jej serce będzie ze mną, nie lękam się

walki, gdyby nawet całe piekło przeciw mnie walczyło. Czuję siły i odwagę stanąć do tej walki.

— Z czystem sercem i z czystem sumieniem, bo wtedy choć upadniesz, to upadniesz jak bohater.

— Adolfie jam ciebie nie poznał, przebacz mi!

— Przyjdzie czas, że mnie jeszcze lepiej poznasz!

Gustaw rzucił się na szyję brata, i wylał kilka łez szczęścia.

Godzinę potem był już w pałacu.

Jakże inną wydała mu się teraz aleja ogrodu, po której wczoraj chodził tak smutny! Żółte liście, które wiatr mu pod nogi pomiatał, wydały mu się dzisiaj jak złote kwiatki, rzucane pod stopy tryumfatora.

C. d. n.

W lesie..

(Z Frajligrata.)

Gdy samotny idę w bór,
W bór posępny, stary,
Gdzie uroczy tworzą chór
Leśnych dębów gwary:

Jak mi serce rośnie wszerz,
Jaśniej widzę świat!
Tu tęczowym baśniom wierz
Z niemowlęcych lat!

To zaklęty jakiś las!
Kędy nogą stanę,
Kwiat i drzewo, źwierz i głaz,
Wszystko zczarowane.

Ta, co śni śród leśnych łąk,
W bujnym leżąc kwiecie,
Owa żmija, zwita w krąg,
To królewskie dziecię.

Tam, gdzie w dali ciemny staw
Daje napój łani,
Tam jej zamek, pośród raf
Kryje się w otchłani.

Król jegomość, z żoną swą,
I hufce rycerzy,
I pachołcy całą ćmą,
Wszystko w głębi leży;

Wzniósł krogulec się nad bór,
I w chmurze się chwieje,
Guślarz to, królewski dwór
Zaczarował w knieję.

Gdybym mógł odżegnać czar,
Piekielnego księcia,
Padłaby królewna mar
Tu... w moje objęcia!

Od wężowych wolna pręg,
Z błyszczącą koroną,
Na jej ustach słodki dzięk,
Lica wstydem spłoną.

Czarodziejsko stary gród,
Podniósł by się z kępy,
Cisłyby się brzegiem wód
Rycerskie zastępy.

A królowa, stary król
Witaliby gości,
Drzewa leśne, kwiaty pól
Drżałyby z radości;

A krogulec ów na straży,
Co się w chmurach waży,
Zwyciężony i bez sił,
W prochu by się wił.

O wy cuda! w ciszy kniej
Ileż was się prześni,
Chłodźcie pierś mą, snujcie z niej
Promieniste pieśni!

L...

Piknik.

III.

Dokończenie.

Nastała pauza! Wszyscy oddychali, urwane prowadząc rozmowy. Ja pod opieką baronowej nic nie słyszałem prócz silnego jej oddechu. Jeżelim ją porównał do fregaty, zapomniałem powiedzieć, że to parowa fregata.

Dla przyzwoitości odtańczono polskiego tańca, w którym gdy się w koło z westchnieniem obejrzałem, nie dostrzegłem nic polskiego. Ani muzyki, ani postaw, ani ruchów, ani serc podobno. Przekrzywienie niezgrabnie małpowanej przeszłości!... martwe ciało bez duszy. Aż żal zbierał patrzyć się na to wszystko.

— To głupi taniec! rzekła baronowa.

Spojrzałem w jej twarz karmazynową i spoconą z gniewem i pogardą.

— Proszę do stołu! zagadła gospodyni.

Biedna ludzkości! Wszystkie uczucia moje zagłuszył silniejszy nad nie głos żołądka.

Z baronową na ramieniu puściłem się ku obiecanej kolacji. Ledwie zdołaliśmy się przepchać, taki był ścisk przy drzwiach. Wszyscy spieszyli co tchu.

W niewielkim pokoju bawialnym nakryty był stół, z siedzeniami tak skąpo wymierzonemi, że do niepospolitych należało sztuk, umieścić się przy nim. Ja niknąłem zupełnie, i ledwie jedną rękę mogłem wydobyć z poza baronowej, i wraz z okiem wyciągnąłem pożądliwie ku zastawionemu stołowi.

Lecz był to dla mnie dzień złudzeń, dzień próżnych nadziei. Było na stole pełno półmisków i talerzów, a na nich rozmaite potrawy, ale w próbkach niestety, za nadto niedostatecznych dla ogółu głodnych gości.

— Proszę państwa, bez cermonji! mówiła gospodyni, podając gościom sama półmiski, przy pomocy grubopłaskiej Kasi.

— Pani konsyliarzowa lubi ryby! to doskonała ryba.

Tać to była ryba! ale w miniaturze, w miniaturowym jakimś zdroju złapana.

— Gdyby to konsyljarzowa raczej rybą była, westchnąłem najszczerzej, patrząc na kwadratową konsyljarzowej figurę.

Westchnienie moje zostało niewysłuchane. Rybka przesunęła się po przed kilka tylko sąsiadek konsyljarzowej, i dobrym sąsiadom została się pamiątka tylko w postaci obgryzionych ości.

Tak samo odbywało się z innemi potrawami. Najpoczciwsze były zrazy pani konsyljarzowej, bo nietylko mnie się dostała połówka zrazu, ale sosu była taka rozrzutność, że głodni mieli przynajmniej ostatnią ucieczkę do chleba, którego piekarzowa nie szczędziła, maczanego w sosie.

Najpokaźniejszą bankietu częścią, była gęś pani Einnemerowej, stojąca na samym środku stołu, która najpowabniej wyglądała w swej całości. Złudzenie optyczne! nic więcej. Była to jakby suchotnica urózowana po śmierci. Dobre wyglądanie zawdzięczała jabłkom, ktoremi była napchana.

Pan Koper, który jak się przekonałem był jeniuszem ogólnym, rozkroił gęś po mistrzowsku, bo podzielił je jak owe ewanielicznych siedem chlebów. Przy krajaniu dopiero pokazała się zdrada. Był to exemplarz najchudszej z gęsi, od kapitolskich zacząwszy, o których twierdzą niektórzy historycy że nie z patryotyzmu ale z głodu krzyczeli.

Gęś rzeczywiście najdłużej dotrzymała natarczywości głodnych gości, nie tyle przez objętość swoją, ile przez twardośc żylastego ciała swego. Do połowy stołu wystarczyły mięsistsze kawałki, przy początku drugiej połowy zaczęły się pojawiać kości. Przy końcu stołu, znikły już i kości, a Kasia czy z własnego dowcipu czy z przypadku przesuwała nam już pod nos próżny półmisek, mówiąc:

— To była gęś!

Żołądkom naszym nic wprawdzie nie pomogło to historyczne wspomnienie, lecz na to żadnej nie było już rady, bo bankiet dobiegał końca.

Wszyscy się oglądali.

— Wina! miodu! piwa! wzdychały wszystkie oczy. O trunkach żadnego nie było śladu prócz mnóstwa kieliszków różnego rozmiaru, króre stały na osobnym stoliczku.

Próżne było oczekiwanie. Po chwili dopiero na żądanie zapewne gospodyni wymruknął nam pan Imbirewicz, który miał trunki liwerować, głaszcząc się po czerwono miedzianym nosie:

— Dziwne zdarzenie! jeszcze mi się to nigdy nie trafiło. Gdzieś mi klucze od piwnicy zaginęły. Może znajdą się jeszcze.

— Znajdą zapewne, pomyślałem sobie, ale tylko na korzyść tego nosa, prawdziwie piwnicznej barwy.

Na dokończenie festynu wystąpił znajomy już nam torcik pani komisarzowej, a wetami były dwie maleńkie miseczki z kandyzowanym kminkiem, któremi baronowa wejście swoje okupiła.

Lekko przyszło wstać wszystkim od stołu, ciesząc się nadzieją pączków, które mi jak mówiono powszechnie i pod sekretem, poczciwa piekarka miała obdarzyć towarzystwo *ex propria diligentia*.

— Panowie i panie! proszę na miejsca! krzyczał Chemik, gdyśmy wrócili do sali balowej. Tylko porządnie, bardzo proszę.

I uwijał się pomiędzy zbierające się do mazura pary.

— Tutaj pan stawaj! woła popychając adjunkta. Pan w trzeciej tańczyć będziesz parze. W drugiej parze pani baronowa.

Tu był pan Klemens w swoim żywiole; grzeczny, uprzejmy, potulny w zwykłem pożyciu, jako fortencer stawał się impetycznym, nieubłaganym, tyranem nawet. Biada takiemu, któryby choć pół słówkiem chciał się sprzeciwić jego fortencerowskiem wyrokom.

— Pan tego nie rozumiesz! krzyknął, fuknął, wyłajał, potrącił, i tak być musiało jak kazał.

Gdy nas już wszystkich po swej woli ustawił, a pannę Florentynę cichszym zainformował głosem, dał znak chustką, i zagrzmiała trąba, zapiszczały biedne klawisze. Pan Koper, który jak uważałem wszystkie mieścił w sobie doskonałości, bo nawet w czasie kolacji, najlepsze umiał z półmisków schwytać kawałki, z podwojonym zapałem uderzał w klawisze. Była chwila w której zdawało się że tu nie idzie o odegranie tańcu, ale o wygranie zakładu jakiego, o współzawodnictwo dwóch instrumentów. Mazur odegrany był o tyle mazurem, o ile nim być mógł bez taktu, i to właśnie było jego zaletą, to dowodziło w panu Koprze wielką znajomość ludzi z którem miał do czynienia. Przy takim mazurze można było bezpiecznie tańczyć bez taktu, i wszyscy też korzystali z tego przywileju. Każdy tańczył wedle własnej metody i własnego taktu. Brak wdzięku w ruchach i taktu zastępywano zawziętem tupaniem i niemożliwemi hołupcami, którym od czasu do czasu wtórował komenderujący na przedzie. Chemik, wykrzyknikami, które miały niby być cechą mazurowej ochoty.

— Hop! ho! krzyknął. Druga i czwarta para za mną! Szósta i osma na przód... Rondo w środek! wielkie szen! prędzej że panie adjunkcie. Hej-że! ha!

Mazur był nieskończony prawie. Figura po figurze następywały coraz inne. Pan Klemens rozpoczynał figury, jakie tylko kiedy widział, lub bujną swą wyobraźnią mógł wymyślić. I wszystko szło nieźle. Przy jednym tylko szen, które wykoncepował Chemik w dziesięć par, nie obeszło się bez nieporządku, w którym i ja jako partner umęczony baronowej, smutny miałem udział.

Pan Klemens gdy ustawił par dziesięć przez całą ciasną szerokość pokoju, i szpilki by nie był przepchał przez ten mur żywy. A on tymczasem każe drugim dziesięciu parom przesuwać się środkiem par stojących. Przez jaki cud przemykały się pary, jest dotąd dla mnie zagadką. Puściła się i baronowa, dwa razy uderzyła bezskutecznie o ścieśniony szereg, lecz nieustraszona, gdy się raz trzeci rzuciła z impetem, łańcuch rozprysnął się na kilka części, pary pogubiły się, i powstało zamieszanie, które

całe mnie najniewinniejszemu przypisał fortencer, marszcząc groźnie brwi na mnie.

Jeszcze z dziesięć figur nastąpiło po tej. Wolniał już zmęczony fortepian, połową tylko swych klawiszów odpowiadający, a trąbka do reszty zachrypła, rozpaczliwemi odzywała się głosy.

— A teraz panowie i panie! proszę o uwagę; zawołał pan Klemens. Figura ostatnia. Wielki labirynt, czyli rycerski węzeł. Wszystkie pary na środek. A było nas par ze dwadzieścia, łatwo więc pojąć jaki powstał ścisk na sali.

Fortencer kazał nam się połączyć w wielki łańcuch, i stanąwszy sam we środku, kazał się łańcuchowi okręcać w koło siebie. To miał być labirynt, i był nim, posunięty aż do chaosu. Potem nagle kazał się rozwinąć, i wiążąc w jakieś zygzaki które miały formować węzeł rycerski, który raczej gordyjskim nazwać należało. Gdy się już ten węzeł pod kierownictwem Chemika miał rozwiązywać i wszystkie pary trzymając się razem w zupełnem stały zagmatwaniu, pośliznął się adjunkt na nierównej podłodze i upadł. Za nim jego tancerka, za nią drugie pary padały jakby owe żołnierze z kart za poruszeniem jednego padające. Nikt się nie mógł wyratować od upadku przy takiem zagmatwaniu, i z labiryntu, z węzła zrobił się istny kopiec, żywy, ruchomy, i jak posąg Memnona przemawiający różnemi głosami. Jedna z ostatnich padła baronowa, i jakby kamieniem przytłoczyła cały ten nieszczęśliwy pomnik mazurowej ochoty.

— Wstańże pani! na miłość boga! stękały głosy ze spodu dobywające się.

— Podnieś że mnie pan! jęczała baronowa do mnie, który pomału podnosząc się, porównałem się w myśli do Marjusza na ruinach Kartaginy spoczywającego.

— Prędzej-że! prędzej! powtarzała moja tancerka coraz niecierpliwiej.

Ja rzeczywiście nie spieszyłem się zupełnie, i po prawdzie rozmyślałem nad tem, czy nie byłoby najrozumniej uciec z placu bitwy, i zostawić to zacne towarzystwo, by się samo ratowało.

W tej tak krytycznej chwili, ozwał się nagle jakiś krzyk od drzwi wchodzacych.

— Co to? wołali leżący, ktoś krzyczy że się pali.

Rzeczywiście i mnie się tak wydało. Rozpaczliwym ruchem rozerwany rozsypał się żywy kopiec, i z najwyższem natężeniem zaczęli się podnosić piknikowi goście.

Głos za drzwiami krzyczał coraz donośniej, i nagle z turkotem otworzyły się drzwi, a przez nie wbiegł do balowej sali jakiś jegomość, od karlika mało co wyższy, z szlafmicą czarną na głowie, i w szlafroku.

— Wali się! wali!

— Co wali się? gdzie? pytali się jedni.

— Gdzie się pali? wołali drudzy.

— Wali się! krzyczał mały człowieczek, którym był gospodarz domu. Czy państwo powarjowali. Któż to tańczy znowu na trzeciem piętrze, i to tak zawzięcie jeszcze. A teraz jeszcze wszyscy rzucili się na podłogę. Tu właśnie najsłabsze miejsce, bo pod spodem kazałem wyjąć właśnie przed kilką dniami ścianę, która sklepienie podtrzymywała.

Wszyscy przestraszeni podskakiwali na bok.

— Ależ mój panie! ozwała się profesorowa, ja płacę za moje pomieszkanie, i wolno mi przecie.

— Mieszkać, chodzić! przerwał gospodarz, którego twarz czerwona zdawała się dowodzić że tylko co powrócił z jakiejś pohulanki. Ale nie takie wyprawiać hece, że jak przyszedłem do domu, widziałem jak wszystkie ruszały się ściany.

— Panie gospodarzu! wystąpił adjunkt! Ja znam przepisy, i wiem że pan niemasz prawa prywatnej przerywać zabawy.

— Pilnuj pan swego nosa! zakrzyczał zapyrzony gospodarz.

Uwaga o nosie była dosyć na swojem miejscu, bo ten jego, jak opisaliśmy wystający nos, fatalnie teraz wyglądał. W czasie ogólnego upadku musiał się gdzieś zdybać z jakąś szpilką przy sukni której z tanecznic, co poświadczała ogromna, dobrze zaczerwieniona na nim krysa.

— Ja niepozwolę tańczyć na trzeciem piętrze, i basta! krzyknął dalej gospodarz.

— Idź pan ztąd precz! wołał fortencer.

— Proszę kogo! pan mnie będziesz wypędzał, a od czego trzymam stróża?

— Cicho! mój mospanie.

— Bez krzyku sam!...

— Wyprowadź mnie pan! piszczała baronowa. Ja mam nerwy tak słabe... Nie mogę znieść krzyku.

I z niemałym przestrachem moim zaczęła się słaniać ku mnie jakby zemdleć chciała. Aż odskoczyłem przestraszony.

Kłótnia tymczasem wzmagała się coraz więcej, i bóg wie na czem by się była skończyła, bo młodzież radaby się na pierwszym lepszym pomścić za guzy jakie przy upadku oberwała.

Na szczęście odszukał się klucz od piwnicy pana Imbirewicza. Poczciwa Klimunia, córka jego pobiegła do domu, i weszła, o uroczy widoku! w towarzystwie dwóch koszów wina, niesionych za nią. Widok ten rozweselił umysły i twarze, a pierwszy zaraz kieliszek wszystkich ku zgodzie nakłaniał. Sam gospodarz dał się namówić, a po drugim czy trzecim kieliszku z innego stanowiska zaczął się zapatrywać na niebezpieczeństwo domowi grożące. Po szóstym sam podrygiwał nogami, a po dziesiątym wszyscy galopowali w najczulszej komitywie.

Na dobitek pojawiły się dwa kopiaste półmiski z pączkami, które pokonały ostatnich malkontentów, jakiemi były próżne nasze żołądki.

Piknik trwał aż do rana podobno. Ja się milczkiem wyniosłem po północy, głodny, znudzony, bogatszy o kilka sińców, ale uboższy za to o kilka guzików, i o całą wiarę w piknikową zabawę.

Kilka słów o bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

Nie wszystko złoto co się świeci.
(Stare przysłowie.)

Dokończenie.

Przypuśćmy n. p. że uczony czy pracujący jest człowiekiem ubogim, utrzymującym się z lekcji, które rychłym wieczorem przypadają, gdy może ma czas wolny po południu lub po ósmej wieczorem; przypuśćmy dalej, że to jest daleko od gmachu bibliotecznego mieszkający technik, urzędnik, kupiec, którego zatrudnienia kończą się o godzinie siódmej wieczorem; przypuśćmy znowu że to jest kształcący się w swym zawodzie przez czytanie odpowiednich arcydzieł artysta dramatyczny, który od godziny szóstej ma obowiązek znajdować się na deskach teatralnych, ma zaś najswobodniejszy czas rano i po południu; przypuśćmy nareszcie codzienne przypadki jak n. p. wizytę wieczorną, niekonieczną chęć do pracy o piątej wieczorem, kiedy była może o 8mej zrana, nieszczególną ochotę do wędrówki wieczornej po błocie i deszczu, chorobę nie pozwalającą wychodzić ale nie pozbawiającą chcącego pracować możności pracy, a spostrzeżemy, iż we wszystkich tych przypadkach, które nam się pod pióro nawinęły, a których w praktyce okaże się bez liku więcej, korzyść biblioteki niknie całkiem, jeżeli się albo z trzech godzin przeznaczonych na czytanie, nie zrobi, jak w innych bibliotekach, 6 lub 8 dziennie, albo co pożądańsza daleko, jeżeli się książek publiczności wypożyczać nie będzie. Nie pomnę ja wcale, że ze społecznością w której się choć żartobliwie wyrobiła zasada, iż psa i książkę ukraść a na koniu oszukać nie jest grzechem, należy się mieć przy wypożyczaniu książek na ostrożności, lecz zakazać tego zupełnie i związać publiczność owemi trzema godzinami dziennie, jest chyba tylko słabem naśladowaniem figla, jaki nieprzyjaźni bogowie Tantalowi spłatali. Nie ma więc pewnie nikogo. ktoby nie przyznał, iż owe trzy godziny dziennie (n. b. rozpoczynające się często z uderzeniem kwadransa na szóstą a kończące się o trzy kwadranse na ósmą), przy nie wypożyczaniu książek zakrawają raczej na ironją, aniżeli na rzeczywistą przysługę dla pracujących, a gdyby to jeszcze przynajmniej w obrębie tych trzech godzin była możność swobodnego i wygodnego popracowania!

Zajrzyjmy we wnętrze czytelni biblioteki Raczyńskich.

Przyszedłszy około godziny piątej, zastajesz już przy drzwiach czytelni czeredę naszych niemieckich i żydowskich Pigmejczyków, czekających na uderzenie fatalnej godziny i otworzenie czytelni. Doczekawszy się tego nareszcie i wszedłszy, spostrzeżesz jeden, zielonem suknem przykryty stół, zastawiony kilku w regularnych odstępach umieszczonemi łojówkami, bo jak się zdaje, wynalazek lamp i gazu dla czytelni biblioteki Raczyńskich jeszcze nie istnieje. Zasiadłszy miejsce obok ściskających cię nierzadko ramionami gimnazjastów, zaczniesz z rezygnacją czytać lub, co tu trudniejsza, wyciągi robić, gdy skrzypną drzwi i szereg Pigmejczyków, powiększony o jednego przybysza a swoboda twego miejsca uszczuplona o kilka cali. Tymczasem zwiesi głowę łojówka twoja, a tu szczypce na drugim końcu stołu! Ruszajże tedy po nie, gdy tymczasem drzwi znów skrzypią i nowy Pigmejczyk w niewinności serca swego zajmie ci twe miejsce, podczas gdy ty Franklinowską wyprawę po szczypce robiłeś. Przepraszaj go teraz, ruguj z twego miejsca a zająwszy je szczęśliwie na nowo, nie zapominaj ściskać łokci, którym znów terytorjum ubyło. Przypuśćmy teraz, że to nie romans przed tobą leży, ale jakie zawiłe miejsce z Annalów Kochowskiego, listów Załuskiego lub może nieczytelny jaki rękopism; a doprawdy wybaczę ci, skoro męczony skrzypieniem drzwi, zbyt bliskiemi sąsiedztwami i chudością swą, prawdziwie rycerza o smutnej postaci przypominającemi łojówkami, zamkniesz książkę, powiesz bibliotekarzowi: dobra noc i o ile możności w najostateczniejszej chyba tylko potrzebie będziesz szukał pomocy w bibliotece Raczyńskich.

Dodajmy jeszcze przy wyliczaniu różnych tych niedogodności reformę czterech tygodni ferji na dziesięć, co gdy nie jesteś na nieszczęście gimnazjastą, i chciałbyś może właśnie w tym czasie z biblioteki korzystać, wcale nie na rękę, a zapewnne zmniejszy się dla niej twój entuzjazm, jeżeliś go czasem z reisebuchami i czasopismami podzielał.

Łatwo pojąć, iż takiem niepojęciem wysokości zadania swego, takiem wyłączeniem publiczności od wszelkich spraw biblioteki, począwszy od finansów, skończywszy na książkach, takiem dalej utrudnianiem jej używania zasobów bibliotecznych, chciwsi nawet nauki od Poznańczyków ludzie, byli-by się prędzej czy później zrazili, i dla istnienia zakładu zobojętnieli. W Poznaniu przyszło zaś do tego rezultatu w całej świetności. Biblioteka cieszy się na zewnątrz swym złotym napisem, wewnątrz chmurą Pigmejczyków, a właścicielka jej i pani, szanowna publiczność miasta Poznania, wie o niej tyle, co ja o biografii pretendenta do tronu chińskiego.

A czyż złe dałoby się jeszcze naprawić?

Twierdzę, że tak. Prezesem kuratorji jest ciągle jeszcze syn założyciela, który w jej składzie bardzo wiele znaczy, i na sprawy biblioteki mógłby przeważny wpływ wywierać. Na nim też cięży przedewszystkiem wykonanie postanowionego wyżej przez nas do biblioteki postulatu *inicjatywy i prowokacji* naukowej w Poznańskiem, bo od innych członków kuratorji żądać tego z różnych powodów nie można. Co się zaś innych zmian i reform każdego aktu donacyjnego tyczy, to mimo wszelkiej jego surowości i absolutności sądzę, że kuratorja przy dobrej woli podobnie jak z 4ech tygodni ferji dla biblioteki zrobiła 10sięć, mogłaby bezpiecznie oświecać czytelnię gazem a nie łojówkami, wprowadzić dziennie 6 godzin przeznaczonych na czytanie, i zezwolić na wypożyczanie książek po za biblioteczne mury.

Inaczej, i przy trwaniu obecnych stosunków, twierdzimy najkategoryczniej, że korzyść biblioteki Raczyńskich dla publiczności poznańskiej redukuje się na zero.

VI. Zakończenie.

Rezultat tych naszych uwag nie koniecznie pocieszający! Zasobna biblioteka z bogatym posagiem, zakład, o którym zaszczytnie wspomina cały kraj nasz i o którym wie dobrze nie kłopocąca się zwykle o nas zagranica, zszedł ze swego wysokiego stanowiska, jakie mu natura rzeczy wskazywać się zdawała, na smutną rolę pomocnika gimnazjastów w szkolnych kłopotach. Twierdzeniu temu nikt, nawet najzapaleńszy stronnik biblioteki nieprawdy nie zarzuci, a jeżeliby się czasem kto występując w jej obronie, pokusił obwiniać o obojętność i złą wolę publiczność poznańską, niechaj nie zapomina, kto tu właściwie główną winę nosi, kto tę publiczność odepchnął, zraził, zobojętnił i kto ją nareszcie prawie możności korzystania z instytutu pozbawił.

Kreśląc wszakże powyższe, jakkolwiek nie pochlebne dla biblioteki i jej zarządu uwagi, nie mieliśmy, jak nas może pomawiać będą, zamiaru szkalowania i szykany, która niechaj zawsze daleką od nas będzie. Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu żyje a o wszystkiem co żyje choćby nawet źle żyło, nadziei poprawy tracić nie należy. Jakiemby dla nas zadowolnieniem było, gdyby zarząd biblioteki lub jego zwolennicy, choć rozgniewani na te uwagi moje i choć karcąc mnie za popełnioną tu i owdzie niedokładność w datach, co mi się przy najlepszej woli ale również i przy niedostatku materjałów łatwo zdarzyć mogło, przyznała się przecież w cichości serca do błędów swoich i biblioteki i przystąpiła w interesie publiczności do naprawy wykazanych wad i usterków zakładu! Jakby nas dalej ucieszyło i przejęło szacunkiem dla biblioteki, gdyby wzięła na siebie dzieło owej inicyatywy i prowokacji naukowej w Poznańskiem! Straconego nic jeszcze nie ma a według naszego uważania rzeczy, udałoby się nawet zadaniu temu daleko lepiej dzisiaj, a niżeli przy zakładaniu biblioteki w r. 1829, zadosyć uczynić. Wtedy nie mieliśmy jeszcze jak dzisiaj jasno i systematycznie wyrozumowanych względem oświaty krajowej obowiązków, wtedy był arcy-ubogim zakres pojęcia o sposobie działania na publiczność przez druki i pisma; wtedy istniało jeszcze w naszym kącie wiele illuzji, które się dziś na nic rozchwiały, ale które też nas na prawdziwą drogę prac i usiłowań powróciły; wtedy wreszcie była biblioteka uboższą o kilka tysięcy tomów, a co

ważniejsza uboższą także o kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich, które jej od r. 1829 przybyły. Naprawa złego nie jest wcale niepodobieństwem, ale należy się spieszyć i być bacznym; jedynym zaś człowiekiem, którego sama natura stanowiska jego w zarządzie bibliotecznym do zdziałania żądanych zmian i reform przeznacza, jest syn założyciela. Bodaj swój obowiązek zrozumiał! *)

*) Upraszam szanowną redakcją, aby wszelkie na ten mój artykuł nadchodzące repliki, bez względu na wiążące zwykle redakcją z korespondentami stosunki, w c a ł e j r o z c i ą g ł o ś c i zamieszczać zechciała. Łatwe do przewidzenia wycieczki przeciw osobie mojej nie wiele mnie obchodzić będą, skoro tylko rzecz sama na tem zyszcze.

Rozmaitość.

* **Pamiętniki Paska** są ciągle niewyczerpanem źródłem pomysłów dla literatów i malarzy. Niema jednej może u nas pracowni malarskiej nieco znakomitszej, w ktorej by nie można było zdybać scen i figur żywcem z Paska wziętych. Między innemi mamy teraz nową komedją usnutą na zdarzeniach opowiadanych przez Paska. Nawet i pieśniarz Ukraiński B. Zalewski śliczny napisał obrazek w Skarbczyku umieszczony, którego treść wziął poeta z rzeczonych pamiętników. Obrazek ten jest pod tytułem: Cioteczny pana Paska, zakochany na Ukrainie.

* **Wolter i Leibnitz.** Nikt lepiej od Woltera kilkoma nie oddał słowami tej charakterystycznej strony niemieckiej, że własne wyższości umysłowe lekceważyć lub poniżyć lubią, gdy napisał pod portretem Leibnitza: «Nawet w własnej ojczyźnie był szanowany.»

* **Nasz Dawizon** coraz większą jedna sobie sławę na rozmaitych scenach niemieckich. Z Drezna gdzie jest teraz stale angażowany, odwiedzał Wejmar, i w roli Hamleta tak nadzwyczajnie się podobał, że się dzienniki wyrazili wten sposób: Za pamięci ludzkiej nie widział jeszcze Wejmar nic podobnie doskonałego, co do pojęcia i oddania tej roli. A to nie mało znaczy, gdyż scena Wejmarska widziała już najpierwsze znakomitości.

Nowiny lwowskie

* **Pan Emil Łapczyński,** znakomity pianista, przybył do Lwowa i zamyśla we środę wystąpić z koncertem. Ośmnastoletni nasz artysta uzyskał już oklaski najpierwszych muzykalnych stolic Europy, a nawet Pragę, tę zimną, tyle wymagającą stolicę tak grą swoją zachwycił, że po koncercie pięć razy został przywołany. Jest on synem zamożnego obywatela z Lubelskiego a muzyce poświęca się tylko z prawdziwego zamiłowania. Uczył się od Drejschocka a obecną podróż artystyczną odbywa w towarzystwie pana Paula, pierwszego swego nauczyciela. Występywał w Pradze, w Warszawie, w Petersburgu, w Rydze, w Rewlu, w Dorpacie i w Wiedniu, i wszędzie wzbudził swoim talentem powszechne zajęcie.

* **Nekrolog karnawału.** Karnawał już skonał. Jakkolwiek powiadają, że o nieboszczykach najlepiej milczeć, jeżeli niedobrze mówić, piszą przecież nekrologi o wszystkich nieboszczykach, które nie zawsze same zawierają pochwały. Żywot wszakże naszego karnawału nadto był krótki, by wiele mógł nagrzeszyć, i podobno wedle zdania prawdziwych amatorów hucznego karnawału, za nadto mało grzeszył. Ztąd też, jeżeli zechcemy nieboszczyka ocenić po słuszności, i charakterystyczną onego wyprowadzić cechę, musimy wyznać, że nie był tak ożywiony, jak dawniej.

Bawiono się i tańczono nie wiele, a i te zabawy, jakie były, odbywały się jakoś incognito. Nie dosyć wszakże powiedzieć jak było; ale trzeba by pokazać, jakie temu były przyczyny. To wszakże nie tak łatwo wykazać jak się zdaje, bo w tej mierze zdań jest nadzwyczajne mnóstwo. I tak niejedni twierdzą, i twierdzą na prawdę, że właśnie krótkość karnawału była przyczyną małego ożywienia, i to za dowód kładą, że do tańcu mianowicie, trzeba się pomału rozkołysać. Trzeba się pomału rozhulać by hulać doskonale, i dla tego to zapewne najhuczniej bawią się i tańczą przy końcu każdej zabawy. Może jest trochę prawdy w tym paradoxie; my przecież postaramy się o głębsze rozważenie tego nekrologicznego przedmiotu. Nam się jednak zdaje, że brak ożywienia w tegorocznych zapustach pochodził po prostu z braku jedności pomiędzy temi, którym wiek i położenie finansowe bawić się pozwalają. U nas całe prawie społeczeństwo nasze, podzielone jest na ogromne mnóstwo kółek, które nie łączą się nigdy. Takie kółka są w każdej stolicy, ale w większem mieście stanowią już same w sobie pewną liczbę znakomitą; u nas są one tak miniaturowe, że w rozłączeniu nikną prawie, i same nic nie znaczą.

Co do tych kółek, w wyższem towarzystwie mamy, rzec by można dwa kółka, jakby senat i izbę poselską. Towarzystwo wyższe salonowe i towarzystwo obywateli wiejskich, którzy chwilowo tylko mieszkając w mieście, nie chcieli lub niemogli w tamto wlać się towarzystwo.

Tu możnaby jeszcze trzecie podać kółko wyższych urzedników cywilnych i wojskowych, które także rzadko zlewa się z tamtemi, ani też jednoczy się z kółkiem niższych urzędników, którzy znowu bawiliby sią najchętniej, gdyby nie to g d y b y, któremu i T h e u e r u n g s - B e i t r a g nie wiele pomoże. W poprzednich latach kółka te skupiały się czasem, bo był punkt środkowy, był i interes niejako. Punktem tym więcej powszechnym była bytność Najdostojniejszego Arcyksięcia, w koło którego łączyły się te trzy pierwsze przynajmniej kółka, w większą już całość, co naturalnie ożywiało bale, jakie dawano, bale wystawniejsze, aby uczcić i uszanować niemi tak wysokiego i miłego gościa. Po jego wyjeździe rozsypały się te kółka, i tego roku tu i owdzie przygłuszona tylko muzyka świadczyła nam, że się tam odbywa baliczek na mały stoliczek, który znikał niepostrzeżony i najwięcej ignorowany. Pomiędzy temi jednakże słyszeliśmy o jednym mianowicie u jednego z obywateli wiejskich, który się odznaczył wielką wytwornością w strojach i przyjęciu.

To samo rozdzielenie się na kółka rozmaite panuje także w towarzystwie miejskich obywateli. I tam majętniejsi bawią się osobno, i nie chcą mieszać się do zabaw mniej zamożnych mieszczan, którzy wszakże najlepiej i najchętniej sią bawią, o ile im środki finansowe wystarczają. I tak na balach na strzelnicy dawanych, można to było widzieć najlepiej, bo choć się jeden lub drugi z arystokracji miejskiej pojawił, rzadko który przyprowadził z sobą żonę lub córki, aby przypadkiem nie puścił się z nią w taniec szewc lub stolarz.

Przy takich żywiołach składowych łatwo pojąć, że publiczne zabawy w ogóle nie były zbyt ożywione, i że po większej części samych tylko mieszczan kółko z dodatkiem urzędników, a czasem oficerów, brało w nich udział. Wyjąć tylko z nich potrzeba, bal na dochód ochronek dany, który dzięki J. Exc. hr. Namiestnikowej nie tylko wypadł najświetniej, ale za Jej staraniem nawet ten rozdział kółek społecznych nie występował tak widocznie. O innych balach publicznych nie można tego powiedzieć, bo na nich odzywało się ciągle to przykre usuwanie się jednych od drugich. Wyższe stany albo całkiem nie brały w nich udziału, albo co jeszcze więcej uderzało, przychodziły tam jako prości widzowie, patrzący na tańce, jakby patrzyli na inne dla siebie wyprawione widowisko, a nawet nieraz różnicę społeczną objawiano strojami więcej zaniedbanemi.

Jedynem więc polem neutralnem dla chodzących się zabawić, były bale maskowe, czyli tak zwane reduty. Tam można było zdybać wszystkie niemal stany, bawiące się, jeżeli nie koniecznie z sobą, ale zawsze razem, każdy w swoim sposobie. Dla najniższych nieżenowana pohasanka, dla średnich intrygowanie się wzajemne było zabawą, a jeżeli młodzież wyższa robiła czasem z reduty rodzaj polowania za intrygami romansowej, jeżeli nie romantycznej natury, snać że to jedno zdoła ich najwięcej ubawić. Z tąd więc poszło, że tegoroczne reduty więcej były uczęszczane, weselsze i więcej ożywione niżeli lat przeszłych.

Wyznać potrzeba, że dyrektor teatru niemieckiego p. Glöggl

stara ł się wszelkiemi siłami, aby zabawy te podnieść, i rozmaitemi to darami, to loterjami, nadać im większego interesu. Starania jego nie były też daremne, o czem mógł przekonać się z dochodów tegorocznych redut.

* **Konkursa.** Posada oficjała przy filialnej kasie wymiany we Lwowie z pensją 500 złr. termin podania do 15go lutego. Posada adjunkta przy urzędzie powiatowym w Varano w komitecie Zemplińskim z pensją 700 złr. termin podania do 15go marca. Posady dla czterech asystentów przy finansowej dyrekcji we Lwowie z pensją 300 złr. termin podania do 10go marca. Posada kancelisty przy magistracie w Czerniowcach z pensją 250 złr. termin podania do końca lutego.

* **Mody.** Rycina do dzisiejszego numeru przyłączona przedstawia. Ubiór pierwszy. Suknia jedwabna barwy błado-niebieskiej, mieniącej się w biało: spodnica z dwoma falbanami, które tworzą podwójną tunikę, ustrojoną w desenie, haftowane jedwabiem niebieskim i białym. Stanik spiczasty, wygorsowany, obszyty koronkową szlarką. Mantyla do wyjścia z balu, z białego kaszmiru podszyta białą felbą, garnirowana w koło kratkowanemi paskami z czarnej aksamitki. Diadem na głowie złoty z szafirami; po boku spadają pióra blado-niebieskie. Naramiennik stósowny do diademu. Wachlarz w guście Watteau (malarza sielankowych scen). Bukiet z kwiatów naturalnych. Rękawiczki białe skórkowe. Trzewiki białe atłasowe.

Ubiór drugi. Pod spodem suknia biała jedwabna. Po wierzchu suknia tiulowa, haftowana złotem i jedwabiem. Spodnica z podwójną tuniką, stanik wygorsowany i krótkie rękawy przy których podobne co na spodnicy hafty, mniejszej wszakże objętości. Mantyla do wyjścia z balu z pluszu różowego, podszyta materją białą jedwabną. Pelerynka przy niej obszyta szerokiemi frędzlami z różowej szenilki. Ubranie na głowę z czerwonych kaktusów i złotych kłosów. Bukiet z kwiatów naturalnych.

Przyjechali od dnia 6. do 8. Lutego do Lwowa.

PP. Kuczyński Ant. z Krystynopola. Walewski Alex. z Kłodna. Niewiadomski Tad. z Soposzyna. Nahujowski Jan z Kropiwnika. Łączyński Józ. z Batiatycz. Pawłowski Adam z Kamionki. Towarnicki Tyt. z Przemyśla. Medwej Franc. z Wiednia. Kieszkowski Józ. z Hruszatyc. Wysocki Flor. z Hrehorowa. Rodkiewicz Józ i Seweryn z Łyskowic. Janiszewski Wojciech z Gniły. Wolański Jan ze Srok.

PP. Szczepański Wład. z Wiśniowczyka. Wojczyński Alf. z Tuligłów. Hr. Stadnicki Edw. z Krysowic. Kozaryn Ign. z Ulicka. Kozaryn Fab. z Kniażola. Zgazdziński Konst. z Ulicka. Hermann Łuc. z Rzepniowa. Łodyński Hier. z Milatyna. Kraiński Mik. z Turrzego. Strzelecki Eug. z Wyrowa. Abancourt Xawery z Łówczy. Hr. Lanckoroński Teodor z Poddubiec. Unruh Wik. z Krakowa. Br. Brunicki Jul. z Podhorzec. Jarosławski Grzeg. z Pustomyt. Hierowski Ludw. z Niemirowa. Petrowicz Franc. z Wysocka. Januszewski Stanisł. z Dublan. Gutkowski Ferd. z Horysławic. Wiszniewski Hen. z Dobrzan. Kraiński Edmund z Leszczowatego. Bobowski Leon z Cykowa.

Wyjechali od dnia 6. do 8. Stycznia ze Lwowa.

PP. Zawadzki Sew. do Firlejówki. Ziemiański Franc. do Przemyślan. Borecki do Złoczowa. Pietruski Oktaw. do Sambora. Bartmański Fel. do Dublan. Januszewski Stan. do Dobrzan. Jaworski Bazyl do Hodowic. Borowski Leon do Krukowic.

PP. Małecki Kaj. do Skomoroch. Antoniewiez Deod. do Przemyśla. Janiszewski Woj. i M.c. do Hureczka. i Cieszacina. Hr. Kownacki do Krakowa. Hr. Dzieduszycki Kaz. do Niesłuchowa. Swieżawski Alex. do Szczynatynki. Wierzbicki Józ. do Kutkorza. Dydyński Fel. do Jezupola.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	107¼	Pożyczka 5%	82⅜
Hamburg za 100 tal. banco	78	Akcye banku	1002
Londyn za 1 funt szterl.,	10.27	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	107⅜	Obl. ind. . , ...	76¾
Paryż za 300 franków .	124	Nowa pożyczka z loteryą	103⅛
Agio duk. ces.	11⅞	Pożyczka narodowa . .	84 5/16

Wczorajszy Kurs Lwowski		Gotówką			towarem		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	58	złr. 5	kr	3
Dukat cesarski	«	5	»	—	» 5	«	5
Półimperyał zł. rosyjski	«	8	»	34	» 8	»	42
Rubel papierowy	»	1	«	35	» 1	»	36
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	40	« 1	»	41
Talar pruski	»	1	«	33	» 1	«	36
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	12	» 1	»	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	88	«	45	» 89	»	15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	»	15	» 76	«	8
5 proc. pożyczka narodowa		84	»	30	» 85	»	30
Śrebro		6	«	45	» 8	»	15

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**